

Lyonel Trouillot Niedziela, 4 stycznia

PRZEŁOŻYŁ JACEK GISZCZAK

WYDAWNICTWO KARAKTER
KRAKÓW 2016

Niektórzy z czytelników być może uznają, że muszą ustalić związek między tą opowieścią a politycznymi faktami, które naznaczyły dwusetną rocznicę uzyskania niepodległości przez Republikę Haiti. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących nie jest tu w żadnej mierze przypadkowe, lecz jak najbardziej celowe i czytelnik ma pełne prawo oddzielać fałsz od prawdy, weryfikować zdarzenia, sięgając do kronik, ale jedyną interesującą konkluzją tych starań byłoby pewnie stwierdzenie, czy ten, kto opowiada, trzyma się historycznych faktów, czy też od nich odbiega. Błędem byłoby sądzić, że ta opowieść zaczyna się od najmniej prawdziwego zdania, które jest jak przynęta umieszczona w pułapce: „Student schodził ze wzgórza, pieszcząc stopami ziemię, żeby nie zbudzić brata...”. Ten student, który mógłby się nazywać Lucien Saint-Hilaire, jego brat, który będzie tu określany jedynie przydomkiem „mały” albo Little Joe, nie istnieją. Tak jak ich matka i morze, i inne postaci. Wszystko należy uznać za dzieło wyobraźni: dialogi, przebytą drogę, miasto, cały

kontekst. Wszystko odsyła nas do tego, co niewyraźalne, do ciszy skrywanej przez wściekłość i wrzask. Nie chodzi więc o to, by wyjaśnić pragnącym zrozumieć, dlaczego policja otworzyła ogień do pokojowo nastawionego tłumu, dlaczego takie miasto sprzyja popełnianiu zbrodni, dlaczego to czy owo. Jak w każdej opowieści usłyszemy tu więcej głosów niż racji. A każdy głos będzie zgłębiał w swoim monologu własną rację albo jej brak, co przecież jest mu właściwe: własne dociekania i niewiedzę.

W końcu jest też możliwe, że sprawy (ale jakie?) tak właśnie się potoczyły na jednej z Wysp Karaibskich. Tłum, który maszeruje, upada, powstaje, przynależy do świata rzeczy widzialnych, lecz co, u diabła, dzieje się w głowach ludzi? Na przykład w głowie studenta, który mógłby się nazywać Lucien Saint-Hilaire, gdy schodzi ze wzgórza, pieszcząc stopami ziemię, żeby nie zbudzić brata, sąsiadów, po czym spotyka się z pewną liczbą osób – w ich głowach także dzieją się różne rzeczy. Student, który idzie, który istnieje i nie istnieje, i zadaje pytanie bez odpowiedzi o istnienie. Nie wiedząc, że u kresu tej drogi umrze, o czym czytelnik dowiaduje się już na wstępie tej opowieści, zyskując nad bohaterem bezużyteczną przewagę.

Student schodził ze wzgórza, pieszcząc stopami ziemię, żeby nie zbudzić brata, który spał jeszcze we wspólnej izbie, z głową pod poduszką, ssąc kciuk z uradowaną buzią, na której malował się cały spokój świata, pokój trwały jak czas dzieciństwa i tak samo kruchy, pokój wyjęty z kontekstu na tej anielskiej twarzy jakby z innego wymiaru, która kłóciła się z resztą ciała, ramionami, torsem, nogami, ciała pokrytego aż po podeszwy stóp krzykliwymi tatuażami i sloganami: Guevara, Wyclef Jean, Tim Duncan, *shoot to kill*, kobiety to suki, szczury zdychają w norze, chcę wszystkiego, *peace and love*. Przebudzenia były bolesne, gwałtowne i student nie miał serca toczyć bojów z tym ciałem – książką i widowiskiem, w którym wszystko przeczyło sobie nawzajem.

Nie należało też budzić sąsiadów: dwóch dziewczynek, niezmiennie w majtkach, bez względu na porę, które zaczynały się okładać pięściami, gdy tylko otworzyły oczy, zadowalały się remisem, obracając swój gniew przeciwko

pólnagiemu chłopcu, w samej podkoszulce barwy jego smarków, a ten wydawał z siebie przeraźliwe wrzaski, uprzedzając fakty, jeszcze przed pierwszym policzkiem, kontynuował w trakcie manta, krzyczał coraz głośniej, aż w końcu wyrwał ze snu matkę, o kościstym ciele, skórze napiętej od biedy, wiecznie w złym humorze, która wpadała pomiędzy nich boso, w nocnej koszuli, jej dłonie miały określony ciężar, i zaczynała okładać wszystkich, też wrzeszcząc, tak że nie było wiadomo, kto był tu katem, a kto jego ofiarą.

Dziewczynki jeszcze spały, a student schodził ze wzgórza nie robiąc hałasu, myśląc, że gdyby kiedyś miał napisać powieść, jej głównym bohaterem uczyniłby ciszę, byłyby to książka spojrzeń, unikająca dźwięków. Który z przechodniów zechciałby mu uwierzyć, gdyby wyznał, że tego dnia już czuje się szczęśliwy, że nie oczekuje żadnego wielkiego szczęścia: jedna myśl o Ernestine, druga o Cudzoziemce, a trzecia o morzu, kiedy schodzi ze wzgórza, nie myśląc już o niczym więcej, o dobru ani złu, nawet o swoim życiu, które narazi na niebezpieczeństwo, ciesząc się tylko tym, że inaczej niż wczoraj, dziś rano świeci słońce. Łagodne grudniowe słońce, które nie pali mózgu jak bezlitosne promienie trudnych miesięcy, września i października, gdy trzeba dopełnić formalności i uiścić opłaty. Lubił grudniowe słońce, które wstawiało lekkie, jakby nie miało nic wspólnego z gwałtownym wzrostem cen, z początkiem roku akademickiego, z wydatkami na życie w ostatnich miesiącach i z wyjątkowo trudnym powrotem do drzewa we wrześniowej spiekocie,

powrotem do dzieciństwa, do pierwszych sympatii, które z czasem zmieniły się w krzepkie chłopki o nogach pałkowatych jak nogi Pelégo, o głosach absolwentek szkoły podstawowej, głosach, w których słyhać nieufność i wyrzut, szacunek dla dokonań i nienawiść do zdrajcy, głosach, które nie chcą niczego zrozumieć, przypominając mi, że *gdy miałyśmy siedem lat, podobałyśmy ci się i podstępnie wyczekiwałeś chwili, gdy nie będzie rodziców, by nas dotykać w zakazane miejsca, dla zabawy, ale też z pożądania*. Jakże bolesne były te nieuchronne spotkania z dziewczętami z minionych lat, żalosne i pełne złudnych oczekiwań, opartych na wspomnieniach, ich lekkość na czubkach piersi, ich wyciągnięte ramiona w głębi oczu, bieda uległych, lecz niewinnych władczyń, które z nim rozmawiały, jakby to była gra: *pokaż ręce*, okazywały dystans: *tak bardzo się zmieniły*, w końcu zrezygnowane stwierdzały: *masz dłonie filozofa*, i pomijały całą resztę milczeniem. Ach! Jakże radosne byłyby te spotkania, gdyby nie czytał w ich oczach: *czuć cię wielkim miastem, dlaczego nas zostawiłeś?* Gdyby on sam nie zadawał sobie pytania, jakim byłby dorosłym, gdyby... I chwila szczególnie przykra, gdy matka siedząca na taborecie, z dłońmi splecionymi na lasce, ślepa i świetlista, nadstawiająca ucha, by śledzić każdy jego gest, pytała, co słyhać u małego. A on nie wiedział, co właściwie powiedzieć, świadomy, że mimo pustki w oczach ona jednak dostrzeżga rozmiary nieszczęścia, że jej ból i niepokój bez większego wysiłku przenikają mur zaćmy, ale igrają z kłamstwem, żeby ją uchronić, pozwolić się łudzić. *Lucien, chcę wiedzieć, co*

słyszać u małego! A on nie znajdował dobrej odpowiedzi, źle grał rolę posłańca, tracił twarz w obliczu Ślepej, wiedział, że jest nagi, szukał cienia i zakrywał twarz dłońmi „filozofa”, uciekał w milczenie, mówił sobie w duchu. *Ach, Ernestine Saint-Hilaire, nie tylko twoje oczy przestały cokolwiek widzieć!* Bo na próżno nalegasz, stukając laską w ziemię. I na próżno wołasz: *Ja, czarna, Ernestine Saint-Hilaire, chcę wiedzieć, co słyszać u małego!* Co się stało, już się nie odstanie. Zamilcz, matko, niech zapadnie cisza. To było tak dawno, że mały szybko dorósł w slumsach Port-au-Prince. To było tak dawno, że mały nie chce już słyszeć o matce ani o Płaskowyzu Centralnym. Tak dawno, że mały, jego głowa, ciało, marzenia i brak marzeń pozostawiły cię w dali, czcigodną i przywiązaną do zamierzchłej historii, przybitą jak relikwia do uschniętych gałęzi twojego drzewa genealogicznego. Ernestine Saint-Hilaire, nie mam ci nic do powiedzenia! A matka – *Ja, czarna, Ernestine Saint-Hilaire, posłałam dzieci do szkoły w Port-au-Prince* – która nigdy nie powiedziała słowa o słońcu, o księżycu, poranku, suszy, deszczu, zaletach korodajnego krocienia bez zbędnej emfazy, *ja, czarna, Ernestine Saint-Hilaire*, która nigdy nie umiała się pogodzić z ciszą i zabierała głos, jakby musiała odprawić egzorcyzmy, szperała w swoim koszyku prawd, szukając języka nadziei, mowy złożonej na dnie, zdolnej zażegnać nieszczęście dzięki tajemnym formułom i obrazom: *zło zawsze służy jakiemuś dobru, trzeba spojrzeć na drugą stronę medalu, kiedy będziecie mieli dobrą pracę...* popadała w zwątpienie, bezwiednie potykała się o mowę płaską,

przyziemną, bez wyrazu, mamrotała i przegrywała batalię z rozpaczą: *w Port-au-Prince jest za dużo nowinek, mały sobie z tym wszystkim nie poradzi, powinien była go tutaj zatrzymać, lecz co miałabym robić z jednym, który potrafi czytać, i drugim, który tu wegetuje!* A student zakrywał twarz, odwracał się do Ślepej plecami: Ernestine Saint-Hilaire, tak mi źle, gdy się użalasz! Lecz ty nie możesz przestać, przemawiasz na próżno, przygnieciona porażką i prosta jak duma, szukasz wytłumaczenia, logiki, *mea culpa: I wiecznie ta przemoc, o której mówią w radiu! Sąsiedzi mi powtarzają, ja nie mam tranzystora, stale mówią o śmierci. Mały nie poradzi sobie z tą przemocą, pamiętasz, zawsze był taki łagodny...* A student miał chęć krzyknąć, że cztery lata różnicy to za mało, by zająć się młodszym bratem, boli go, że nigdy nie spytała: *a co u ciebie, Lucien?*, tylko zawsze: *ile ci jeszcze zostało do końca?* Zresztą, pal licha, tak cię kocham, Ernestine Saint-Hilaire, ale czy w tej zapadłej wiosce, o której mały chce jak najszybciej zapomnieć, nie wypruwacie sobie żył dla garstki fasoli i paru kolb kukurydzy? A Ernestine, znów silna, mówiąc o rzeczach, na których się zna, o okrucieństwie tej ziemi, na której dobrze się czuje, o swojej okolicy, odwiecznej i niezbywalnej: *Tak, wypruwamy żyły i niszczymy ręce. Idź, Lucien, i powiedz to swoim profesorom, którzy wszystko wiedzą! My tutaj myślimy w bardzo prosty sposób. Posłuchaj, co ci mówi Ernestine Saint-Hilaire. Ja, czarna, wiem, co mówię. Tutaj jest oczywiście jak czysta woda w dzbanie, że ten czy tamten na pewno jutro umrze: sąsiad stracił cielaka, a zapisano w naszych obyczajach, że truciciel musi sam*

zasmakować goryczy trucizny. Tutaj jest jasne jak światło poranka w Niedzielę Wielkanocną, że niemowlę, które gaworzy w środku pory suchej, nie skosztuje wody deszczowej, bo zwaśnione rodziny wciąż się nie pogodziły, a tak czy owak wiele noworodków umrze. Mamy tutaj zasady, a nasze myśli są jasne!